

(świadeństwo wg książki Paula Hostetlera

TWÓRCY HISTORII - ZAKŁADANIE ZBORÓW NA MIARĘ XX WIEKU

Zamawianie - paulhostetler@yahoo.com

książka jest za darmo!!)

JERZY PRZERADOWSKI - KOŚCIÓŁ CHRZEŚCIJAŃSKI "JEZUS ŻYJE"

Kutno – miasto w województwie łódzkim

Liczba mieszkańców – ponad 51 000

Moja historia

Narodziłem się na nowo w wieku 13 lat. Stało się to w ciekawy sposób: podczas prywatnych rekolekcji milczenia w zakonie Kamedułów przez dwa tygodnie modliłem się, żebym mógł być święty i żeby Bóg wziął moje życie w swoje ręce. Choć od dzieciństwa prowadzono mnie na szkółki niedzielne do Kościoła Zielonoświątkowego w Szczecinie, bo stamtąd pochodzę, to jednak tak potoczyły się moje drogi, że ostatecznie o oddanie życia Bogu modliłem się w zakonie. Dopiero po miesiącu zobaczyłem, że Boża obecność ogarnęła mnie naprawdę i poczułem Jego miłość. Zakochałem się w Jezusie i tak się rozpoczęła moja droga z Nim przez życie.

Wychowałem się w kręgach ewangelikalnych. Rodzice narodzili się na nowo, gdy miałem trzy lata i właśnie oni mieli na mnie duży wpływ, wychowując mnie więc po chrześcijańsku. Tata głosił mi Słowo Boże i podsuwał wiele książek, szczególnie biografie nawróconych ludzi. Powodowało to, że pragnąłem być taki, jak ludzie, o których czytałem. Zanim rozpocząłem pracę w obecnym kościele, udzielałem się na ewangelizacjach. Przed pójściem do wojska angażowałem się we wszystko, w co mogłem: zespoły, spotkania młodzieżowe. To tylko jednak pochłaniało mi czas, natomiast moje wnętrze było puste, jeśli chodzi o poczucie realizowania Bożej wizji. Po wyjściu z wojska modliłem się: „Boże, powiedz mi, co mam robić”. Pojechałem na odludzie, żeby modlić się przez całą noc do Boga, by powiedział mi, co mam robić. Powiedziałem Mu, że nie wezmę się za nic, dopóki nie usłyszę wyraźnie, gdzie mnie posyła. Nie chciałem „działactwa” i pustego krzątania się, jakie miało miejsce w moim życiu wcześniej. W zasadzie już na początku modlitwy Bóg powiedział mi: „Idź i głosź ewangelię”. Na wszelki wypadek modliłem się do rana, ale nic innego nie usłyszałem. Pomyślałem, że skoro Bóg mnie posyła, odpowiedziałem: „Dobrze, będę głosił”.

Z początku wyglądało to bardzo prozaicznie. Wynająłem mieszkanie, żeby być niezależnym od rodziców. Po powrocie z pracy jadłem obiad i modliłem się: „Boże, gdzie mam głosić?”. Czasami nie słyszałem od Boga odpowiedzi, więc wychodziłem z domu i mówiłem: „Boże, jestem gotowy, poślij mnie”. Wtedy Bóg zaczynał mnie kierować do różnych ludzi. Było to fascynujące.

Potem poznałem członków międzywyznaniowej misji, która co dwa miesiące organizowała w centrach miast ewangelizację na otwartej przestrzeni. Po ewangelizacji organizowano projekcję filmu „Krzyż i sztylet” i głoszone Słowo. Zaangażowałem się w te akcje i w zasadzie był to początek mojej służby, w której jestem zaangażowany aż do dzisiaj. Od tamtego czasu wiele się jednak zmieniło.

Przygotowanie do służby

Po ewangelizacji trwającej dziesięć dni w centralnej Polsce: w Gostyninie, Płocku i Sierpcu okazało się, że ludzie pozostawili wiele kart kontaktowych z adresami. Miałem trzydzieści adresów z Gostynina. Zapytałem lidera misji, co mam z nimi zrobić, a on odpowiedział, że mogę się nimi zająć. Wyśmiałem go, mówiąc, że mieszkam w Szczecinie i nigdy stamtąd nie wyjadę. Pomodliłem się i w kilka godzin po modlitwie, kiedy szedłem przez Gostynin, Duch Święty zstąpił na mnie i poczułem po raz pierwszy przekonanie, że mam zaangażować się na pełny etat w służbę. Było to dla mnie zdumiewające, bo w zasadzie nigdy wcześniej nie wyobrażałem sobie opuszczenia Szczecina. Nie miałem też żadnych doświadczeń w kierunku zakładania zborów. Miałem 23 lata, byłem na urlopie, a jedynym przygotowaniem było to, co Bóg wypracował w moim sercu oraz moje życie spędzone na słuchaniu Bożego Słowa i czytaniu chrześcijańskich ksiązek. Postanowiłem to przemyśleć. Odczułem silne przekonanie, że Bożą wolą jest to, abym zajął się tymi ludźmi. Wieczorem zebrałem grupę misyjną i poprosiłem, abyśmy się razem modlili do Boga. Podjąłem w końcu decyzję o wyjeździe i przeprowadzce.

Wróciłem do Szczecina, rozwiązałem umowę o pracę w trybie natychmiastowym, spakowałem rzeczy do kartonów i powiedziałem rodzicom, że wyjeżdżam. Było to 15 lat temu, miałem wtedy 23 lata. Na początku rodzice nie wierzyli. Myśleli, że żartuję. Kiedy jednak zobaczyli spakowane kartony, nie potrafili się z tym pogodzić. Tato nie odzywał się do mnie przez dwa dni, ale odwiózł mnie w końcu na dworzec. Miałem ze sobą dwa małe pudła na ręcznym wózku, gitarę, dwie reklamówki z kasetami, trochę ksiązek i plecak.

Będąc jeszcze w wojsku, spędzałem czas na modlitwach i marzeniach o Kościele, które pojawiały się w moim sercu już od 17 roku życia. Marzenia te przybierały na sile, gdy spędzałem czas na poligonach. Kupiłem sobie zeszyt i zacząłem pisać precyzyjnie, jak będzie wyglądała każda forma działania w kościele. Zapisałem cały notes. Oprócz modlitwy, czytania Słowa Bożego, uczyłem się na pamięć wielu fragmentów Biblii, czytałem książki i snułem marzenia. Obecnie marzę także o założeniu szkoły misyjnej, chociaż sam żadnej nie skończyłem.

Zakładanie kościoła

A więc dokładnie piętnaście lat temu wyjechałem ze Szczecina, aby rozpocząć pierwszy kościół. Przyjechałem do Gostynina mając trzydzieści adresów. Udało mi się wynająć mieszkanie na dwa miesiące. Miałem też gdzie zaprosić ludzi i rozpocząć z nimi spotkania. Po miesiącu okazało się, że muszę opuścić mieszkanie. Wtedy Bóg postawił na mojej drodze człowieka, który powiedział, że jeżeli będę chciał na krótki czas zamieszkać w Kutnie, to on mi pomoże, bo ma tam mieszkanie. Pomyślałem: „A, Kutno... tam jest taki dworzec, na którym bardzo śmierdzi”. Nie mając innego wyjścia, zgodziłem się na zamieszkanie w Kutnie, przynajmniej przez dwa tygodnie, zanim nie znajdę

mieszkania gdzieś indziej. Zamiast dwóch tygodni, mieszkam tam dwa lata. Mieszkanie w końcu zmieniłem, ale w Kutnie mieszkam do dziś. Przez ponad trzy lata jeździłem do Gostynina. Przez pierwsze pół roku na spotkania przychodziło regularnie do dwudziestu osób. Po trzech latach istniejąca grupa kilkusobowa zdecydowała się włączyć w pracę Chrześcijańskiej Społeczności w Płocku.

Dojeżdżałem wprawdzie do Gostynina, ale skoro zamieszkałem w Kutnie, to pomyślałem, że zorganizuję ewangelizację w tym mieście. Po pół roku zaczęli napływać ludzie i w ciągu półtora roku powstała społeczność licząca około dwudziestu osób. Po pół roku spędzonym w Kutnie pomyślałem: „Boże, jestem tu już pół roku – wystarczy. Może najwyższy czas usamodzielnić tu kościół, ustanowić liderów i wyjechać dalej?”. Bóg odpowiedział mi wtedy, że w tym mieście będzie mój „świecznik” i stale będę tu wracał. Będę jeździł w różne miejsca, ale w Kutnie będę stacjonował. I rzeczywiście tak jest do dzisiaj. Jeżdżę po Polsce, organizuję obozy ewangelizacyjne, szczególnie obozy wędrowne, zakładam kolejne zbory, ale do Kutna ciągle wracam. Proces zakładania kościoła w Kutnie trwał około roku. Dalsze życie kościoła to proces wzrastania. W Gostyninie minął rok do dwóch lat, zanim społeczność ukształtowała się i stała się w miarę samodzielna.

Na początku nie zakładałem, że będę liderem zborów, które będę zakładał. Myślałem, że będę raczej pionierem, który rozpocznie pracę i przekaze ją lokalnym liderom. Po wielu latach Bóg przekonał mnie, że będę musiał ponosić osobistą odpowiedzialność za zbory, które rozpocząłem. To wcale nie jest takie łatwe powołać i ukształtować liderów, a potem pójść dalej.

Wizja uczniostwa

Wizja, jaką miałem wtedy w swoim sercu, była prosta: zebrać ludzi, którzy się nawrócili, rozpocząć z nimi regularne spotkania i nauczać ich podstaw wiary poprzez biblijne studium. Uczyłem ich duchowego wzrostu i przygotowywałem do prowadzenia ewangelizacji indywidualnej. Chciałem czynić uczniów, którzy będą zdolni później prowadzić następnych uczniów. Na nabożeństwach uczyłem ich ogólnych zasad duchowego wzrostu, natomiast indywidualnie prowadziłem z nimi studium biblijne, rozdawałem konspekty i przygotowywałem ich do prowadzenia takiego studium z następnymi ludźmi. Przez większość czasu tak to działało: kiedy nawracali się ludzie, powierzałem ich jako uczniów tym, którzy już wcześniej się wyszkolili. Taką wizję uczniostwa wprowadzałem wszędzie, gdzie zakładałem społeczność. Następnie uczyłem ludzi indywidualnej ewangelizacji. Osobiście chodziłem z nimi po domach, wychodziłem z grupami na miasto, by ewangelizować. Ponieważ jesteśmy zborom charyzmatycznym, dużo czasu poświęcam też ludziom, aby byli gotowi przyjąć dary Ducha Świętego i odpowiednie Słowo oraz wizję dla swojego życia.

W zakładaniu kościoła pomagała mi międzywyznaniowa misja, nie kościół. Wierzę, że za powstawaniem nowego kościoła powinien stać inny kościół, tak jak i za misjonarzem, który go wysyła. Za mną niestety nie stał, ponieważ kiedy miałem 21 lat, nie byłem członkiem żadnej denominacji. Mając 15 lat, ochrzciłem się w Kościele Zielonoświątkowym, a w wieku 17 lat opuściłem ten kościół, by wstąpić do katolickiej odnowy charyzmatycznej w Szczecinie, w której miało wówczas miejsce przebudzenie. Na tamten czas byłem dosyć buntowniczym młodzieńcem, zdenerwowanym na swój „uśpiony” zbor i wydawało mi się, że grupa odnowy była centrum przebudzenia. Porzuciłem tę wspólnotę definitywnie, zrywając w wieku 21 lat wszelki kontakt z Kościołem katolickim.

Potrzebowałem na nowo modlić się o to, w jakim kościele powinienem stać się członkiem. Zrozumiałem, że muszę być w kościele biblijnym, a nie w jakiejś wspólnotce odnowy. Nie umiałem zdecydować się na konkretny zbor.

Nowa czy stara denominacja?

Tak się złożyło, że kiedy przyjechałem do Gostynina, nie zamierzałem zakładać nowej denominacji, gdyż byłem uprzedzony do systemu, w którym się wychowałem. Bóg potrzebował uzdrowić moje serce z tego urazu. Po wielu latach byłem gotów wrócić do Kościoła Zielonoświątkowego. Pojechałem do mojego poprzedniego pastora i poprosiłem, by przebaczył mi sposób, w jaki odszedłem ze zboru. Poprosiłem o jego błogosławieństwo.

Modliłem się, czy mam wrócić do Kościoła Zielonoświątkowego, czy założyć inną denominację. Pościliśmy w tej sprawie ze starszymi zboru, których ustanowiłem i pytaliśmy Boga, jak mamy postąpić. Po wielu przemyśleniach postanowiliśmy założyć nową denominację. W tamtym czasie zobaczyłem, że Bóg prowadzi mnie w kierunku rozpoczęcia nowego ruchu zakładania kościołów. Ta wizja wymaga pełnej swobody i daje też wolność w rozwijaniu się innym. Założyliśmy nową denominację, do której dołączyły inne społeczności. Obecne zbory, które zakładamy, rejestrujemy pod nazwą Kościoła Chrześcijańskiego „Jezus Żyje” (www.kchjz.prv.pl). W zasadzie korzystamy z zasobów Kościoła Zielonoświątkowego oraz Kościoła Bożego w Chrystusie.

Dziesięć lat temu rozwinęliśmy służbę pod nazwą „Obóz wędrowny”. Prowadzimy ją w ramach Stowarzyszenia „Misja Chrześcijańskiego Przebudzenia”, któremu przewodzę. Co roku organizujemy obóz wędrowny oraz stacjonarny. Przez 24 dni prowadzimy ewangelizację w ponad dwudziestu miastach. Na obóz zjeżdżają się ludzie z różnych miast i kościołów. Liczba uczestników wynosi kilkadziesiąt osób. Po obozach oddajemy mnóstwo kart kontaktowych z adresami najbliższym zborom, niezależnie od denominacji (<http://obozwedrowny.asternet.pl>).

Misja „Tymoteusz” i nowe kościoły

Obecnie moja wizja zakładania zborów różni się pod względem organizacyjnym od tej, którą miałem wcześniej. Wielu rzeczy nauczyłem się na podstawie obserwacji. Moją dokładnie sprecyzowaną wizję zakładania zborów nazwałem „Misją Tymoteusz”. Nie jest ona zarejestrowaną organizacją, lecz misją wewnątrzkościelną. Napisałem do niej statut określający wyraźne zasady zakładania zboru. Moimi współpracownikami są ludzie, których nazywam „Tymoteuszami”. Zanim przystępuję do założenia zboru, najpierw ustanawiam „Tymoteuszy”, czyli ludzi, którzy zdecydują się na roczne lub dłuższe przymierze. Mając „Tymoteuszy”, zakładam kościoły.

Dla przykładu; kiedy niedawno zacząłem zakładanie kościoła w Turku, wynająłem lokal i rozpocząłem ewangelizację. Zorganizowałem kurs Alfa, spotkania z uzdrowieniem, spotkania dla ubogich, Gwiazdkową Niespodziankę, spotkania z zaproszonym gościem. Przez pierwsze półtora roku w ewangelizacjach brało udział od kilku do 300 osób. Na pierwszy kurs Alfa przyszło 30 osób, a po dwóch miesiącach było ich tylko 5. Po półtora roku nie było nikogo. Modliliśmy się o przełamanie barier i o to, by Bóg dokonał swego dzieła. Przez miesiąc przyjeżdżaliśmy do pustej sali mimo wielu

rozdanych zaproszeń. Nagle, na jedno spotkanie przyszło 13 osób. Od tego spotkania rozpoczęła się historia kościoła. Było to dla mnie zdumiewające doświadczenie, pokazujące, że sianie wydaje w końcu plon. Do dzisiaj spotyka się tam mniej więcej tyle samo osób i grono jest w miarę stałe. Większość ludzi jest ochrzczona i prowadzi regularną służbę w mieście wśród ubogich, wydając raz w tygodniu posiłki bezdomnym. Głoszą ewangelię wśród znajomych, organizują kolejne wydarzenia i spotkania. Nie mamy jeszcze osoby mogącej zostać w przyszłości pastorem. Przyjeżdżam do Turku na spotkanie w środy. Co drugą środę przyjeżdża jako mój zastępca pastor z Konina, który jest jednym z „Tymoteuszy”, a w każdą niedzielę odbywają się spotkania w grupie domowej bez mojego udziału, ponieważ przyjeżdżają tam „Tymoteusze” z innych miast. Raz w miesiącu pastor z Koła wysyła „busa”, aby przywieźć ludzi na niedzielne nabożeństwo.

Bóg nauczył mnie jednej zasady: gdy On pokaże mi jakieś miasto, muszę ustanowić tam ołtarz, czyli miejsce, do którego będę regularnie przyjeżdżał z ofiarą uwielbienia. Zbieranie ludzi jest jak dobudowywanie świątyni do ołtarza. Zobowiązałem „Tymoteuszów”, aby niezależnie, czy ktoś przyjdzie na spotkanie, czy nie, odbyło się uwielbienie i modlitwa wstawiennicza o miasto. Tak właśnie czyniłem w Turku. Kiedy nie było tam ludzi, zabierałem z sobą osoby z Kutna i jechaliśmy tam, by modlić się przy ustanowionym ołtarzu.

Założyłem dziennik raportów Tymoteuszy, w którym wpisujemy temat nauczania, ilość osób uczestniczących, problemy które się pojawiają i wszelkie inne uwagi. Kiedy ja czy inny z Tymoteuszy oglądamy taki dziennik raportów, widzimy, co się działo i lepiej orientujemy się w bieżącej sytuacji.

W chwili obecnej w ramach „Misji Tymoteusz” mam około dziesięciu współpracowników w charakterze „Tymoteuszy”.

Kolejnym zbozem, jaki rozpoczynałem, była społeczność w Zgierzu. Na chwilę obecną jest tam kilka osób. Jestem tam raz w miesiącu, a spotkania odbywają się co tydzień. Szukam ludzi z innych zborów, którzy co pewien czas (raz na dwa miesiące lub raz na miesiąc) są gotowi pojechać do miasta, które im wskażę i poprowadzić tam spotkanie w grupie. W ten sposób tworzymy „trzon prowadzących” lub starszych. Tak działa to w Zgierzu, Aleksandrowie, Poddębicach, Turku i w Łęczycy, gdzie dojeżdżają „Tymoteusze”. To ciągle dopiero początek. Nie zamierzam przekazywać pastorowania jedynie zboru w Sieradzu, który powstał po jednym z obozów wędrownych oraz zboru w Kutnie. Sieradz jest oddalony o sto kilometrów od Kutna. Jeżdżę tam raz w tygodniu. Inne rzeczy, które trzeba załatwić w ciągu tygodnia, tj. odwiedzić ludzi po ewangelizacjach, powiesić plakaty, odwiedzić urząd – wykonują osoby mieszkające na miejscu.

Kluczowe elementy zakładania kościoła

Jednym z kluczowych elementów zakładania zboru jest pewność, co mówi do mnie Bóg. Cokolwiek zacząłem robić, zarówno w ewangelizacji jak i służbie zakładania kościołów, robiłem z wyraźnym przekonaniem o woli Bożej, nawet jeśli nie miałem pieniędzy czy nikt nie przychodził na spotkania. Z tą zasadą zacząłem służbę w Gostyninie. W krytycznym momencie, kiedy po pół roku grono dwudziestu osób skurczyło się do kilku, powiedziałem: „Boże, to jest bez sensu. Kazałeś mi tu przyjechać i poświęcić się pracy. Powiedziałeś, że będziesz mnie zabezpieczał finansowo. Czy porzuciłem swoje miasto dla kilku osób?”. Wtedy Duch Święty zapytał mnie; a gdybym chciał, żebyś

dla tych paru osób w Kutnie i w Gostyninie żył z wiary do końca życia, przygotowywał kazania i był dla nich, cóż ci do tego? Czy Twoim celem nie jest pełnienie Bożej woli? Taka jest moja zasada do dzisiaj: muszę wiedzieć, co mam robić i robię to do odwołania. Takie też przymierze zawieram z „Tymoteuszami”.

Błędy i przeszkody

Zakładając zbór zapewne popełniłem jakieś błędy, chociaż w większości spraw modliłem się do Boga i pytałem Go o kolejne kroki. Gdy było już tyle osób, by można było zarejestrować denominację, zobaczyłem, co się dzieje z ludźmi, kiedy mogą o coś demokratycznie decydować. Ujawniły się tendencje roszczeniowe czy buntownicze, które tkwią w każdym z nas. Zrozumiałem, że to jest coś, czego bardzo chciałbym oszczędzić ludziom w kolejnych kościołach, które będę zakładał. Ludzie w kościele popełniają jeden błąd: zamiast szukać Bożej woli, sprawdzają, na ile ich osobiste zdanie ma znaczenie. Jeżeli ich zdanie nie będzie wzięte pod uwagę, to czują, że nie spełniły się ich ambicje.

W moim życiu był taki decydujący moment, kiedy zmieniłem zasadę, jaką zastosowałem w Kutnie, prowadząc kościół w oparciu o zespół równorzędnych starszych. Zobaczyłem, że w niektórych miejscach to działa, ale nie zawsze. Zobaczyłem też, że na świecie wiele kościołów prosperuje i rozwija się w oparciu o jasno określone przywództwo. Wizja nie jest czymś, co Bóg daje wszystkim. Daje ją jednostkom, które dzielą się nią z zespołem starszych kościoła. Według mnie tak należy ustanawiać przywództwo w kościele, by przywódcami byli ludzie gotowi płacić cenę za wizję, jaką Bóg daje dla kościoła. Błędem jest obdarzanie równorzędnym autorytetem ludzi niedojrzałych lub niegotowych zapłacić cenę, którą płaci mający wizję. Jeżeli autorytet jest podzielony, to tracę narzędzie do rozwijania kościoła lub służby. Autorytet jest narzędziem, które uwalnia do wykonywania tego, co Bóg każe mi czynić. Kosztowało mnie to wiele cierpienia, by w końcu pewnych ludzi zdjąć a pewnym odmówić. Kosztowało mnie to wiele lat uczenia się odpowiedzialności za mówienie „nie” i stawianie warunków współpracownikom.

Na początku, kiedy rozpoczynałem pracę, popełniałem błąd, którego teraz się wyzyłem: zbyt szybko ustanawiałem liderów. Czyniłem to na podstawie proroczego objawienia, czyli na podstawie Słowa, które miałem, że dana osoba w Bożych planach ma być liderem. I rzeczywiście, większość ludzi, których ustanowiłem liderami w tamtym czasie do dzisiaj nimi są – są pastorami. Ale wielu ustanowiłem za szybko i popełnili oni zbyt wiele błędów kosztem swoich grup.

Można dodać, że ze względu na plany co do objętości niniejszej książki część materiału pominięto.